Nr. 366. Kraków, poniedziałek 30 grudnia 1907. Rocznik XVI.

Redakcya: Kraków, ulica Filipa L. 11.
Administracya: Kraków, Długa L. 5.

Adres na telegramy: **Naprzód, Kraków.**
Telefon Nr 396. — Konto czekowe Nr 834.095.

Prenumerata miesięczna:
z odsyłką **2 K**, bez odsyłki **1 K 60 h**,
zagranicą 2 mk. 30 fen., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl., 70 ctm. ameryk.
Prenumerata tygodniowa w Krakowie 40 h.

Numer 8 h, poświąteczny 4 h.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.

Wychodzi codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt) o godzinie 5 popołudniu, a nadto w poniedziałki i dni poświąteczne o godzinie 9 rano.

Towarzysze!

Z Nowym Rokiem jednajcie „Naprzodowi“ nowych abonentów. Wytrącajcie robotnikom z rąk prasę wrogą i ogłupiającą. Rozpowszechniajcie Wasz własny dziennik, który broni interesów klasy pracującej, zwalcza lichwiarzy drożyźnianych, piętnuje śmiało wszelkie nadużycia, ujmuje się za wszystkimi pokrzywdzonymi.

Wierny zasadom, które wyznawał i szerzył przez lat 16, „Naprzód“ niechaj z Nowym Rokiem otrzyma nowe zastępy abonentów przez agitacyę naszych Towarzyszów.

Prenumerata wynosi:

	z odsyłką	bez odsyłki
rocznie	24 K	19 K 20 h
kwartalnie	6 K	4 K 80 h
miesięcznie	2 K	1 K 60 h

Numer pojedynczy **8 h**, poniedziałkowy i poświąteczny **4 h**.

Po Nowym Roku drukować będziemy w felietonie „Naprzodu“ szereg interesujących powieści. I tak rozgłośną powieść słynnego angielskiego socyalisty i autora fantastycznych powieści

G. H. Wellsa:

„DNI KOMETY“.

Dalej znakomitą powieść japońskiego socyalisty

Kinoszita Naoe:

„WYZNANIA MĘŻA“.

Nadto mamy przyrzeczoną powieść oryginalną, mianowicie nową powieść

Gustawa Daniłowskiego,

autora „Z minionych dni“ i „Jaskółki“, osnutą na tle stosunków w Królestwie Polskiem ostatniej doby.

Oprócz tego zamieszczać będziemy w felietonie szereg drobniejszych nowel, wspomnień i t. d.

Każdy, kto od Nowego Roku zapłaci prenumeratę kwartalną na „Naprzód“, otrzyma jako **bezpłatną premię** prześlicznie wydany, oprawny tom poezyj Edwarda Milewskiego

„Kwitnące ciernie“

z ilustracyami i ozdobami A. Ostrowskiej.

Wybryk klerykalnego fanatyzmu.

Obrady zjazdu delegatów Związku nauczycielskiego zostały w sobotę zakłócone dzikim wybrykiem księdza katechety Kraupy, jedynego duchownego, który był uczestnikiem zjazdu.

Zaproszony przez naczelny zarząd Związku tow. Daszyński zjawił się na nauczycielskiem zgromadzeniu i zabrał głos w ciągu obrad. Wywody jego, wolne zupełnie od stronniczości, miały na celu poparcie dążeń nauczycielstwa do uzyskania lepszej egzystencyi, a także do zdobycia nowoczesnej pragmatyki, określającej jasno prawa i obowiązki nauczyciela wobec swoich przełożonych.

„Lud pracujący — mówił tow. Daszyński — ma wybitny interes w tem, aby nauczyciele jedynej jego szkoły byli dobrze uposażeni i aby byli wolnymi obywatelami, których nie będzie mogła zgnieść biurokracya. Dawniej nauczyciel był sługą proboszcza, tak też wówczas wyglądała oświata ludowa... Dziś polepszyły się stosunki, ale dziś nowy ciężar spada na nauczyciela, postępowanie niejednego inspektora, wobec którego nauczycielstwo bez nowoczesnej pragmatyki jest bezbronne“.

„Szkoła ludowa nie jest ani dla rządu, ani dla dygnitarzy autonomicznych, lecz dla ludu i tylko dla ludu! Jeżeli panowie na tem stanowisku staniecie, to zrozumiecie także konieczność liczenia się z dążeniami do wyzwolenia, które nurtują wśród tego ludu. Nie myślę szukać wśród panów prozelitów, wiem, że panowie nie podzielacie naszych przekonań, ale i to wiem, że lud roboczy pragnie mieć szkołę dobrą, co bez zadowolnionych i wolnych w duszy swej nauczycieli, jest niemożliwością“.

Po omówieniu potrzeby utworzenia instytucyi nauczycielskiej i zapomogowej w Krakowie, podziękował mowca za życzliwą cierpliwość słuchaczom.

Gorące oklaski były odpowiedzią zgromadzenia.

Zanim przebrzmiały, znalazł się na trybunie ks. Kraupa, blady i drżący. Podniesionym głosem zaczął krzyczeć:

„Smutne to, gdy temu, który zabił matkę, wydarł jej serce i opluł — — dajecie takie huczne oklaski! Już drugi raz widzę, jak nauczycielskie zgromadzenie nagradza oklaskami słowa posła Daszyńskiego“...

W tem miejscu wybuch protestu zgromadzonych nie dał mówić ks. Kraupie. Zszedł więc z trybuny i zawołał, wznosząc obie ręce:

„W imieniu tych, którzy nie chcą bić brawa posłowi Daszyńskiemu, protestuję!“

I kogucim krokiem wyszedł ze sali sam jeden wśród oburzenia całego zaskoczonego tym dzikim wybrykiem zjazdu.

Przewodniczący p. Nowak stwierdził oficyalnie, że zaproszono na zjazd jako gości wszystkich posłów, mieszkających w Krakowie i wszyscy jednakowo mile są widziani na zjeździe.

Jeden ze starszych uczestników obrad postawił też natychmiast wniosek, aby prezydyum wyrażono uznanie i zaufanie, co wśród gorących oklasków uchwalono i zamknięto w ten sposób epizod księżego nietatku.

Julian Dunajewski.

W sobotę 28 grudnia 1907 r. o godzinie pół do 12 w nocy zmarł dr Julian Dunajewski w swoim domu na Podwalu w Krakowie, przeżywszy lat 85.

Były minister skarbu, który od dłuższego czasu z powodu starości usunął się z widowni życia publicznego, był jednym z najwybitniejszych polityków minionej doby, najpotężniejszą postacią obozu konserwatywnego w Galicyi. Indywidualność silna i bezwzględna, typu Bismarka, charakter despotyczny, umysł jasny, trzeźwy, natura zimna, wola silna, energia niezłomna, wykształcenie rozległe znamionowały tego wodza partyi stańczykowskiej.

Urodzony w Krakowie 4 czerwca 1822, odbył studya uniwersyteckie we Wiedniu, Lwowie i Krakowie, w r. 1852 został w Krakowie suplentem nauk politycznych w r. 1855 profesorem akademii prawniczej w Preszburgu, w r. 1860 profesorem zwyczajnym uniwersytetu lwowskiego, w roku 1861 profesorem nauk politycznych i statystyki na uniwersytecie jagiellońskim w Krakowie. Jako rektor uniwersytetu krakowskiego w latach 1864 i 1867 był członkiem wirylnym galicyjskiego sejmu, do którego w r. 1870 został wybrany posłem z miasta Nowego Sącza. W sejmie stał się wodzem t. zw. stronnictwa krakowskiego, czyli stańczykowskiego. Okazał on odrazu wielki talent polityczny, a jego mowy sejmowe ujawniły mówcę niepospolitego, pozbawionego wszelkiej fantazyi, ale zato nadzwyczaj jędrnego, jasnego, logicznego i silnego. W r. 1867 wniósł w sejmie projekt rozszerzenia autonomii, a mianowicie ustanowienia odpowiedzialności namiestnika wobec sejmu i rozszerzenia kompetencyi wydziałów powiatowych na zakres działania rządowych władz administracyjnych.

W r. 1873 wybrany został z kuryi miejskiej Nowy Sącz-Biała posłem do parlamentu i mandat ten dzierżył aż do roku 1891. Prezesem Koła polskiego był wówczas Grocholski, wiceprezesem został wybrany Dunajewski, jako przywódca frakcyi stańczykowskiej. W polityce parlamentarnej odegrał wybitną rolę i dnia 26 czerwca 1880 r. został powołany do gabinetu hr. Taaffego jako minister skarbu i przez dziesięć lat pozostawał na tem stanowisku. Był on przez to dziesięciolecie duszą ministerstwa Taaffego. Centralistyczna lewica niemiecko-liberalna miała w nim nieubłaganego wroga; był on bowiem głównym przywódcą kierunku autonomistycznego, w którym grupowały się wówczas stronnictwa klerykalno-feudalne, a zatem klerykali słowiańscy, klerykali niemieccy i szlachta feudalna; stronnictwa te stanowiły t. zw. prawicę parlamentu, do której należało Koło polskie. Dunajewski był konsekwentnym przeciwnikiem wszelkiego współdziałania z lewicą i powiedział jej to otwarcie w swej mowie z 2 marca 1885: „Dowiedliśmy, że można rządzić wprawdzie nie przeciw wam — daleką była od nas ta myśl — ale bez was, a jednak zaspokoić potrzeby państwa“.

Istotnie w zaspakajaniu potrzeb państwa położył Dunajewski wielkie zasługi, ale nie w zaspakajaniu potrzeb ludu. Jako minister skarbu stworzył Dunajewski system bezwzględnego ucisku podatkowego, którego całe brzemię rzucił na barki najuboższych warstw ludności. To też jeszcze nawet długo po jego ustąpieniu nazwisko Dunajewski wymawiane było wśród ludności z uczuciem strachu i grozy, jako równoznaczne z pojęciem śruby podatkowej, a ustąpienie jego powitały szerokie masy z uczuciem ulgi. Prawda, że on to uporządkował zrujnowane finanse państwa i doprowadził do równowagi budżet państwowy, który przed nim wykazywał stale rosnący deficyt.

Uzdrowienie finansów państwa, napełnienie kas państwowych jest bezsprzeczną zasługą Dunajewskiego. Ale czyim kosztem tego dokonał? Kosztem warstw pracujących. Bogaczy oszczędzał, ale ubogich gniótł niemiłosiernie coraz to nowymi podatkami: przy pomocy konserwatywno-klerykalnej większości parlamentu udało mu się podwyższyć cła na kawę i na naftę, podwyższył podatki od cukru i od wódki. Natomiast sprzeciwiał się energicznie przyciśnięciu bogatych śrubą podatkową; wprawdzie w styczniu 1883 r. przedłożył parla-

---

S. JESIEŃ.

Cierpienia księdza proboszcza.

(Ciąg dalszy),

Duży, pusty pokój, oświetlony lampą z czerwonym abażurem i nikogo, żywej duszy, tylko on, taki samotny, taki biedny, taki opuszczony... I tak było przez całe życie. Szedł przez nie, jak przez wielką, bezbrzeżną pustynię. Wychowały go ciotki, chude, stare histeryczne dewotki. Matkę pamięta, jak przez mgłę, był jeszcze dzieckiem, kiedy umarła. Wychowywano go na grzecznego, skromnego chłopca, bajecznie skromnego i niewinnego, równie skromnego, jak jego stare ciotki. Jego dziecięce lata upłynęły w pośród tysiącznych reguł i zakazów, w chłodzie i powściągliwości, bez życia, bez ciepła pieszczoty matczynej, z jedyną tendencyą — zrobienia zeń skromnego i dobrze wychowanego młodzieńca. A gdy ten cel został osiągnięty, zamknięto go do zimnych murów seminaryum, nie pytając go nawet o przyzwolenie... A gdyby spytano?... Byłoby to takim samym czczym obrzędem, jak pytanie niemowlęcia, czy chce być ochrzczonem... Naturalnie chce!... Nieraz pusty śmiech go zbierał, gdy z całą kapłańską powagą pytał małego, czerwonego bębna: „Chcesz być ochrzczonym?“ I rodzice chrzestni byli najświęciej przekonani, że gdyby maleństwo rozumiało, co się do niego mówi, i mogło odpowiedzieć, to napewno odpowiedziałoby: „chcę“... I sami odpowiadali z całą powagą i pewnością: „Chcę!“... A maleństwo patrzyło dużemi, szeroko otwartemi, blademi oczkami na zabłąkanego wróbla w górze, który przeleciał z wąsa świętego Piotra na głowę świętego Pawła i potem, czując się nie dość bezpieczny w tem miejscu, frunął wysoko i siadł na złoconych promieniach, otaczających świętego Ducha...

On był wtedy takim głupiutkim, takim niedojrzałym, takiem dzieckiem... Czy wiedział, czy mógł wiedzieć, co znaczy zostać księdzem? Wiedział tylko, że będzie się ubierał w ornaty i kapy z bogatemi złotemi wyszyciami, że będzie gromił z ambony, że dzieci i nabożne stare kobiety będą go całować po rękach, że na ulicy będą się przed nim z uszanowaniem odkrywać głowy. Ale o tej pustce, o tym chłodzie, o tej bezcelowości życia nie wiedział!... I o tej męce, o tej strasznej męce samotności i opuszczenia nie wiedział... Uczono go wszystkiego, wskazywano mu wszystko, ale nikt nie nauczył go, nikt nie powiedział mu, że człowiek bez domu żyć nie może, jak ptak bez gniazda, że człowiek bez miłości żyć nie może, jak kwiat bez promieni słonecznych... Nikt nie powiedział mu, kiedy kładł na siebie tę straszną czarną sutannę, że kładzie na siebie chłód i pustkę życia — nazawsze, tę samą czarną, wielką pustkę, która go teraz otacza...

Boże, jak pusto! Wątła, samotna świeci lampa z czerwonym abażurem, a wkoło tak czarno, tak czczo...

Z za ciemnej portyery patrzy ciekawie czarne, tajemnicze okno; chwilami wydawało mu się, że przez to okno ktoś zagląda, jakiś długi cień z wydłużoną potwornie ciekawą głową i długą, chciwą szyją... W kątach pokoju kłębił się tajemniczy zmrok... Nie, nie wytrzyma tu dłużej!... Przeszedł do zimnego, dużego salonu obok, w pośpiechu, drżącemi rękami zaświecił lampę, usiadł w bujanym fotelu i zaczął się kołysać lekko. Duży pokój, wykwintnie umeblowany, z egzotycznymi kwiatami i obrazami w bogatych, złoconych ramach wiał chłodem i pustką. Zamknięte drzwi do gabinetu zdawały się ukrywać teraz, w ciemności całą masę skłębionych, potwornych cieni, które po jego wyjściu zalały pokój, i ksiądz za żadną cenę nie wszedłby tam teraz. Lecz pustka przyszła za nim i tutaj, rozlała się po dużym, chłodnym salonie, rozsunęła jego ściany i wypełniła wszystko swem martwem tchnieniem.

Boże, dlaczego mu tak źle, że nigdzie nie może sobie znaleźć miejsca? Uciec stąd, pójść gdzieś, gdzie są ludzie, gdzie ciepło, widno, gdzie słychać gwar wesołych rozmów i śmiechów... Prawda! Wino!...

. . . .

II.

Wino!... Upije się do utraty przytomności, a potem zapomni o wszystkiem i zaśnie. Byleby módz zasnąć!... Zerwał się szybko, pobiegł do sypialni, gdzie za łóżkiem stało kilka butelek dobrego węgrzyna, i po chwili wrócił z zapyloną flaszką i dużym kieliszkiem w rękach.

— „Non est nisi vinum!“ — mruknął. — Napij się, Heniu, na te smutki. — Wpadł już w dobry humor i wesoło gawędził z sobą, wkręcając korkociąg do korka. Po chwili korek strzelił i ksiądz drżącą ręką nalewał ciemny, cenny napój do skrzącego się, czystego, jak łza kieliszka. Jednym tchem wychylił wino, z wesołą miną wydął dolną wargę i, przypomniawszy sobie ustęp z trylogii, począł recytować:

— O, srogie wino! Czuję, że krew moja, podlana niem, tworzy wyborny likwor, od którego wigor rozchodzi się po kościach...

Zrobiło mu się odrazu ciepło. Opanowało go wesołe nerwowe podniecenie. Wszystkie myśli splątały się i zamgliły, i słodka ociężałość wypełniła mu całe ciało. Równocześnie miał szalone pragnienie mówić, śpiewać, robić coś szybko, gorączkowo. Pił kieliszek za kieliszkiem i było mu coraz lżej, coraz cieplej i leniwa omdlałość wypełniała go coraz więcej.

— Biednyś ty, Heniu, — mówił sam do siebie z pijanem rozczuleniem. — Źle ci na świecie... Ani matki, ani ojca, ani żony, ani dzieci, ani żadnej rzeczy, która jego jest... No, napij się jeszcze, będzie ci lepiej...

Mówił to wesoło, bez śladu przygnębienia, które gniotło go przedtem. I pił. Pił, póki duża zapylona flaszka nie została zupełnie próżna. Na twarz wystąpiły mu duże, czerwone wypieki, oczy przymrużały się sennie i bujany fotel, na którym siedział, zdawał się bujać sam pod nim, lecz jakoś dziwnie, z jednego boku na drugi...

Rozkoszna błogość wypełniała mu wszystkie członki i drażniła zmysły. Ociężały wzrok księdza spoczął na dużym obrazie Madonny

mentowi reformę podatkową, zawierającą także projekt wprowadzenia podatku osobisto-dochodowego, ale z całą energią przeszkadzał urzeczywistnieniu tego projektu i gdy parto go w parlamencie do przeprowadzenia zapowiedzianej reformy, oświadczył w dyskusyi budżetowej w Izbie panów 19 kwietnia 1886 r., że musi przestrzedz przed pośpiechem i „socyalistycznemi zboczeniami“ przy wprowadzaniu podatku osobisto-dochodowego; powołał się przytem na zdanie Thiersa, że bardzo łatwo bogatych zrobić uboższymi, lecz bardzo trudno uboższych zbogacić. Tak tedy podatki pośrednie, obciążające żywność i artykuły codziennego użytku szerokich mas ubogiej ludności, stanowiły podstawę jego systemu podatkowego.

Kasa państwowa wychodziła na tem dobrze, obszarnicy i kapitaliści również, ale lud jęczał w jarzmie niebywałego przedtem ucisku podatkowego. Z brutalnością, którą to cechą odznaczał się w polityce podobnie jak Bismark, lekceważył Dunajewski interesy ludu, dbając tylko o „konieczności państwowe“. Zawarta przezeń ugoda z Węgrami podkopała na długi czas galicyjski przemysł naftowy. Gdy w r. 1886 przystąpił do podwyższenia podatków od nafty i od wódki, popadł w konflikt z Kołem polskiem; szlachcice z Koła polskiego— gorzelnicy i właściciele prawa propinacyi— nie chcieli się zgodzić na podatek od wódki bez odpowiedniego dla siebie odszkodowania; Grocholski wystąpił w obronie, oczywiście nie konsumującej ludności, lecz „świętej karczmy“, a bez Koła polskiego projekt nie byłby uzyskał w parlamencie większości. Konflikt ten zaostrzył się do tego stopnia, że oponujący Dunajewskiemu w tej sprawie minister dla Galicyi Floryan Ziemiałkowski musiał się podać do dymisyi. W końcu Dunajewski zrobił szlachcicom-propinatorom hojny prezent z kieszeni opodatkowanej ludności i w ten sposób ułagodził Koło polskie, mianowicie zgodził się na kompromisowy wniosek Dawida Abrahamowicza, przyznający szlachcicom, jako właścicielom propinacyi, znaczne korzyści. Gdy jednak Koło jeszcze się wzbraniało, chwycił się Dunajewski środka ostatecznego, a skutecznego zawsze wobec kołowców: z jego inicyatywy cesarz zawezwał do siebie Grocholskiego na audyencyę, po której Koło polskie się poddało. Wtedy to w Kole polskiem padły z ust posła Orzechowskiego słynne słowa: „choć niehonorowo, ale zdrowo“. Obłowiła się szlachta, zyskał skarb państwa, a na lud spadł nowy ciężar.

W tym wypadku Dunajewski kupił sobie frondujących, płacąc ich z cudzej kieszeni. Zresztą zaś zwykł był dławić wszelką opozycyę żelazną ręką.

W polemice parlamentarnej był niebezpiecznym przeciwnikiem; druzgotał oponentów mowami pełnemi dat i cyfr, ujawniającemi wielką wiedzę, zimnemi, i trzeźwemi, skonstruowanemi nader logicznie, a wygłaszanemi z ogromną swadą.

Programowi swemu feudalno-autonomistycznemu pozostał Dunajewski wiernym. Próba hr. Taaffego z r. 1881 stworzenia reformy administracyi w duchu federalistycznym wypłynęła z inicyatywy Dunajewskiego. Gdy po rozwiązaniu parlamentu 23 stycznia 1891 nastąpił zwrot w polityce hr. Taaffego, który widząc, że dłużej nie będzie można rządzić w Austryi przeciw burżuazyi niemieckiej, usiłował nawiązać stosunki z lewicą, wówczas Dunajewski, wierny swoim zasadom, ustąpił z ministerstwa 2 lutego 1891 r.

Z tą chwilą usunął się też zupełnie z życia parlamentarnego. Do parlamentu już nie wrócił, pozostał tylko w sejmie. Ale chociaż i w sejmie skutkiem podeszłego wieku coraz rzadziej się pokazywał, był jednak faktyczną głową stronnictwa stańczyczykowskiego aż do końca. W stronnictwie tem nic a nic nie działo się bez jego zezwolenia; a posłuch miał w stronnictwie bezwzględny; wydawał rozkazy, i to częstokroć w tonie bardzo bezwzględnym i szorstkim — i nie było apelacyi; opozycyi nie znosił; stańczycy poprostu musieli go słuchać i słuchali go też istotnie, znosząc bez szemrania jego nieraz bardzo cierpkie komplementy.

Była to natura stworzona do rządzenia, despotyczna, żelazna. Przed wysokim tym, kościstym starcem trzęsło się wszystko w obozie konserwatystów krakowskich.

W ostatnich czasach wpływ jego w życiu publicznem Galicyi stał się na zewnątrz zupełnie niewidocznym; szersze koła nic o nim nie wiedziały, młodsze pokolenie nie wiedziało nawet, czy on jeszcze istnieje. Ale w ściślejszem gronie, wśród swoich przyjaciół politycznych zachował on do ostatka swój wpływ, który bywał decydującym w wielu bardzo ważnych sprawach politycznych.

W Krakowie był dr Dunajewski postacią znaczną. Starszy jego brat Albin był biskupem krakowskim i kardynałem. Julian Dunajewski żonaty był z siostrą dyrektora Karola Estreichera, zmarłą przed niedawnym czasem. Pozostawił dwoje dzieci: córkę i syna, starostę tarnowskiego.

Jeszcze przed paru dniami Julian Dunajewski chodził po mieście. Podziwiano ogólnie siłę jego organizmu i zdrowie w tak podeszłym wieku. Zmarł nagle, na paraliż płuc.

Schodzi z Julianem Dunajewskim do grobu najwybitniejszy polski polityk konserwatywny, ostatni wielki człowiek obozu stańczykowskiego.

TELEGRAMY
z dnia 30 grudnia.

Powszechne głosowanie w Chorwacyi.

Zagrzeb. Na posiedzeniu partyi narodowej wygłosił ban Rakodczay swój program. Między innymi zapowiedział, że nowemu sejmowi przedłoży projekt ustawy wyborczej zaprowadzającej powszechne, równe i tajne prawo głosowania do sejmu.

Eksplozya w kanale.

Budapeszt. Wskutek wrzucenia mimo zakazu odpadków z fabryk mineralnych do kanału zbiorowego, nastąpiła w sobotę wieczór w kanale eksplozya, przyczem kilka osób zostało poranionych.

Wojna w Marokku.

Lalla Marnia. Z powodu deszczów szczep Beni Snassen opaźnia nadsyłanie odszkodowania. Nie donoszą o żadnych ruchach wojsk.

Casablanca. Potwierdzają się wiadomości, że bezpośrednio ma nastąpić marsz do Kasbach.

Wielki strejk.

Buenos Aires. Kilka tysięcy marynarzy i palaczy Towarzystwa żeglugi nadbrzeżnej rozpoczęło strejk. Przybył tu niemiecki krążownik „Bremen“.

Proces o manifest wyborski.

Petersburg. W procesie o manifest wyborski na gwałtowne ataki oskarżonego Ramiszwili przeciw postępowaniu rządu, sprecyzował prokurator formalne stanowisko prawne rządu, że same ułożenie manifestu na ziemi finlandzkiej nie jest karygodnem, jest niem natomiast jego rozszerzenie w Rosyi.

Gdy po odczeniu rozprawy do poniedziałku urządzono oskarżonym burzliwą owacyę, wygłosił Rodziczew mowę.

Wyrok za bunt wojskowy.

Władywostok. (Pet. ag. tel.). Komendant twierdzy zatwierdził wyrok w procesie przeciw 73 uczestnikom w buncie na kanonierce „Mandżur“, mocą którego **5** oskarżonych zostało skazanych na **śmierć**, **16** na dożywotnie roboty przymusowe, **26** zostało wcielonych do rot aresztanckich, **6** do batalionów dyscyplinarnych, zaś reszta uwolnioną.

KRONIKA.

Kraków, 30 grudnia.

Baczność Towarzysze!

Ważne dla agitacyi!

Zwracamy uwagę, że z powodu rozpisania wyborów sejmowych mogą się odtąd przez cały okres wyborczy, t. j. przez dwa miesiące, odbywać w całym kraju zgromadzenia przedwyborcze bez zawiadamiania władz i bez komisarzy rządowych.

Trochę opamiętania! Prasa galicyjska, wroga robotnikom, wzięła sobie tak bardzo do serca wybór tow. Daszyńskiego na Śląsku, że wśród wylewów jadu wyrządza polskości na Śląsku ogromną szkodę. Zawiść dzika i ślepa dyktuje tej prasie (np. „Głosowi narodu“) śmieszną insynuacyę, że to „Czesi wybrali Daszyńskiego“!...

Nie rozumieją ci szczególnego rodzaju patryoci, jaką przysługę wyrządzają tem szowinistom czeskim, ogłaszając, że w okręgu wiejskim Bogumin-Frysztat jest 6000 czeskich, a tylko 2000 polskich wyborców...

Śmieszna ta prasa stawia najprostsze fakty na głowie, byle tylko dać upust swej nienawiści do socyalistów; podobna jest do chłopca, który „na złość tacie“ odmroził sobie ręce...

Sami szowiniści czescy dają argumenty w ręce przy ich robocie, wynaradawiającej polskiego robotnika, aby tylko nie zawstydzić się ani na chwilę z powodu oszustw wyborczych, dokonywanych w Galicyi.

Apelujemy do tych wszystkich „dziennikarzy“ dziwnego nabożeństwa, aby się opamiętali nieco. Ze złości z powodu przegranej niechaj operują innemi oszczerstwami — jeżeli już tak boli ich przegrana — ale nichaj nie robią z tysięcy polskich robotników nagle „Czechów“. Są to z pewnością lepsi Polacy, niż wyborcy ekscelencyi Bobrzyńskiego, albo Abrahamowicza... A więc nieco — opamiętania!

Nowiny krakowskie.

Oburzenie „N. Reformy“ na nas z powodu doniesienia, że kupiła ją spółka wyborcza Leo-Staniszewski, objawiło się w półszpaltowym wylewie na łamach porannego wydania niedzielnego. Nie przeczuwaliśmy, że p. dr Doboszyński, którego biegłość w sprzedawaniu (Boishebert!) i w kupnie (zastępstwo poselskie od Fijaka!) jest notorycznie znaną i uznaną, oburzy się na objaśnienie publiczności o jeszcze jednej jego tranzakcyi handlowej. A może mylimy się. Może nie wydawca, ale redaktor robi w oburzeniu? Tem mniej byśmy je pojęli: czyż p. Konopińskiemu nie będzie przyjemniejszem pisać artykuły pod inspiracyą p. dra Lea, niż dać je sobie poprawiać przez p. Doboszyńskiego? Miałby w dodatku tę satysfakcyę, że szef stronnictwa byłby równocześnie jego szefem kasowym, a to nawet dla „skromnego“ redaktora nie jest rzeczą do pogardzenia.

Delikatną wzmianką o rzekomym manewrze konkurencyjnym „przed nowym rokiem“ nie czujemy się wcale wzruszeni: myśmy nawet przed wyborami nie byli do nabycia ani nawet do wynajęcia, cóż dopiero teraz. Zresztą, czyżby „wielki“ organ pod kierunkiem p. Konopińskiego naprawdę bał się konkurencyi? Wszak podobno walczy się o „zasady“, a nie o prenumeratorów.

Dyrektor szpitala św. Łazarza, prof. dr Ponikło opuszcza z początkiem r. 1908 swe stanowisko, na którem zostawał od r. 1903. Tymczasowe kierownictwo szpitala oddał wydział krajowy prymaryuszowi drowi Borzęckiemu.

Stałym dyrektorem ma zostać dr Starzewski, obecnie dyrektor szpitala krajowego we Lwowie.

W procesie tow. Dobrodzickiej w Wadowicach wnosić będzie oskarżenie dr Gruszczyński, mianowany prokuratorem tamże. Dr Gruszczyński był dotąd sybstytutem prokuratoryi w Krakowie?

— **Uniwersytet ludowy im. A. Mickiewicza,** ul. Szewska 16, I. p.

W sali Muzeum techniczno-przemysłowego (ulica Franciszkańska) w poniedziałek od godz. 8 do 9 wieczorem p. Feliks Kon: „Z podróży do kraju Sojotów-Urjanchów“ (z obrazami świetlnymi).

— **Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.**

Poniedziałek: „Instynkt“, sztuka w w 3 aktach H. Kistemaekers'a, oraz „Na odwrót“, komedya w 1 akcie Girolamo Rovetta.

Wtorek: „Narzeczona w depozycie, komedya w 4 aktach P. Gavault i R. Charvay.

* **Chór robotniczy w Krakowie.** Ze względu na koncert ludowy próby Chóru odbywać się będą od poniedziałku 30 b. m. codziennie o godz. 8½ wieczorem przy ul. Podwale 12.

Wydawca: **Ignacy Daszyński.**
Redaktor odpowiedzialny: **Gustaw Alojzy Titz.**
Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie.
(Telefon 710.)

wschodniego pędzla, o pięknej pociągłej twarzy, nie wyrażającej nic, prócz czarownej, odurzającej piękności kobiecej. Łuki czarnych, gęstych brwi zbiegały się ponad czarnemi, głębokiemi, palącemi oczami, które patrzyły poważnie i wyzywająco zarazem. Lekka, biała suknia wdzięcznie spuszczała się po wysmukłem dziewiczem ciele, uwydatniając jego rozkoszne młode kształty.

Ksiądz patrzył i nie mógł oderwać wzroku. Ten obraz budził w nim zawsze jakieś nieznane, niespokojne i przyjemne zarazem uczucie. Często pokazywał go swym gościom i zapytywał, co ich uderza w wyrazie twarzy Madonny i rad był, gdy odgadywano jego własne spostrzeżenie. W twarzy tej nie było nic boskiego ani macierzyńskiego. Madonna była tylko wyrazem wielkiej dziewiczej piękności i nic ponad to. Lecz księdzu twarz ta mówiła jeszcze coś, z czem nie zwierzał się przed swymi gośćmi. Ta twarz zdawała mu się jakąś znaną, pokrewną i nad wyraz pociągającą. Było w niej coś, co budziło w nim uczucie wielkiej, tkliwej sympatyi i pożądania. Był to jego typ.

Rozmarzonym, zamglonym wzrokiem ksiądz pożerał namiętnie wdzięczną postać Madonny, zatrzymywał się na młodych dziewiczych piersiach, uwydatniających się pod lekką suknią, na wdzięcznie zarysowanej kibici, na ponętnych fałdach sukni, spuszczającej się na kolana, i lubieżny dreszcz przebiegał mu po ciele. Przysunął sobie lampę i krzesło bliżej do obrazu, usiadł wygodnie, przymrużył oczy i zatopił się w rozkosznych marzeniach.

Przez mgłę odurzenia obraz przybierał coraz to ponętniejsze kształty, wdzięczna dziewicza twarzyczka zdawała się uśmiechać, pierś falowała szybkim oddechem... Wszystko naokoło rozpłynęło się w ciężką, gorącą mgłę i z pośród niej wynurzała się tylko młoda, dziewiczo piękna postać Madonny...

Naraz wzrok księdza zatrzymał się na twarzy dziecięcia na ręku Madonny i odurzenie odrazu pierzchnęło. Twarzyczka ta patrzyła na niego bardzo surowo i jakby z wyrzutem. Przypomniało mu się, że to, co czyni, jest jednak ohydnem... Spojrzał na twarz Madonny, lecz twarz ta była już zupełnie poważna; z pod czarnych łuków brwi patrzyła na niego zimno para oczu, pełnych dumy i pogardy. Ten wzrok zmieszał go i zawstydził...

— Boże, co ja robię? — wybełkotał. — „Apage sanatas!“ Chodź, Heniu, spać, boś pijany...

Z ciężkiem westchnieniem podniósł się z krzesła i sapiąc i zataczając się, powlókł się do sypialni.

Gdy położył się do łóżka, ogarnął go szalony wir, przez który połyskiwały od czasu do czasu, jak błyskawice w ciemną noc, to wdzięczna kobieca twarzyczka, to zgrabna nóżka, to rąbek ponętnie podniesionej spódnicy... Kobiety, kobiety, kobiety... Dziesiątki rozkosznych kobiecych postaci, z powabną miękkością kształtów, z wdzięcznym owalem ramion, pochylały się nad jego łóżkiem, wabiły go, mrugały nań oczami... Czuł ich bliskość, czuł bijące od nich ciepło, chwilami włosy ich muskały jego rozpalone policzki.

(Dokończenie nastąpi).